

Mariusz Szczygieł: - Nie jestem typem knajpianym

Piotr Grobliński: - Poprzednio rozmawialiśmy niedługo po wydaniu „Gottlandu”. Wtedy nie był pan jeszcze tak znany, dziś jest pan twarzą polskiego reportażu, autorytetem w tej dziedzinie. Jak zmieniła się literatura non-fiction przez te 12 lat?

Mariusz Szczygieł: - Reportaż stał się bardzo popularny. Mam wrażenie, że ludzie jeszcze bardziej niż kiedyś chcą czytać o innych ludziach. Jakby coraz większej grupie przestało wystarczać telewizyjno-internetowe tłumaczenie świata. Książki reporterskie mają to do siebie, że często wchodzą w głąb jakiegoś świata. Czytelnik na chwilę może porzucić swoje życie i pożyć życiem kogoś, kogo normalnie nigdy by nie poznał. Kogoś, kto realnie istnieje, a nie jest zmyślony. Porównać się z bohaterem, zastanowić, kto lepiej wyładował w życiu... Świat wtedy wydaje się bardziej oswojony. Nastąpił renesans non-fiction i wysyp książek z tego gatunku. Niestety, wśród nich jest bardzo dużo książek słabych. Ale to normalne w każdej nadpodży.

Łódzka promocja pańskiej najnowszej książki odbyła się w Niebostanie, promocje poprzednich w 6. Dzielnicy i Studiu 102. To przypadek czy echo czeskiego biesiadowania w gospodach?

- W ogóle lubię spotkania z czytelnikami. Z biesiadowaniem w gospodach nie ma to jednak nic wspólnego. W ogóle nie jestem typem knajpiano-piwnym. Wielu czechofilów jest rozczarowanych: nie piję piwa, nie przepadam za czeskimi zadymionymi knajpami i do tego Szwejk mnie nie śmieszy. Jestem bardziej francuski piesek niż czeski piwosz.

Gdzie czuje się pan najlepiej?

- W domu, gdy czytam lub piszę. I przed publicznością. Czy to w teatrze, czy w bibliotece, czy w klubie. Zresztą prawie nie zdarza mi się zostawać po spotkaniu autorskim z organizatorami na bankietach czy kolacjach. Lubię wrócić do hotelu lub do domu. Podczas wieczoru autorskiego daję z siebie bardzo dużo energii - kto był, ten wie - i potem jej już nie mam. Biesiadowanie, które wymaga rozmowy, dowcipu, byłoby porażką.